

Onufer

Maria Konopnicka



calibre 0.9.27

ONUFER

Maria Konopnicka

1.

Już miałam wychodzić, kiedy Jan Zaparty, młodszy strażnik z pierwszego piętra, wpadł do kancelarii.

- Proszę wielmożnego - zawołał zdyszany, robiąc "front" u proga. - Pod piątym rewolucja! Osmólec tak tłucze Onufra, że go oderwać nie można.

- Co to nie można! - krzyknął pan nadzorca zrywając się z fotela. - Ruszaj po Jakuba, ciemnego, kiedy sam rady dać nie umiesz, i przyprowadzić mi tu ich obu! Natychmiast! Słyszał?

- Słyszał! - odrzekł wyprostowany w kij strażnik i zniknął za progiem.

"Wielmożny" stał jeszcze chwilę twarzą ku drzwiom zwrócony, ze obiegniętymi brwiami na pięknym, białym czole. Oczy mu się paliły, krew podeszła do skroni, w całej postaci znać było gniewne wzburzenie. Po chwili wszakże opanował się, odsapnął, a rzuciwszy przez zęby: "cymbał", siadł i zaczął gładzić pulchną, błyszczącą pierścieniami ręką sinawy, gładko wygolony podbródek, przegarniając bujne faworyty na prawą i na lewą stronę. Mitygował się, ale znać było, że mu to przychodzi z trudnością. Nie lubił, aby sprawy podobne wybuchwały wobec trzecich osób, rzucił mi też z fotela swego kilka szybkich, ukośnych, dosyć cierpkich spojrzeń.

Tymczasem w korytarzu rozległ się odgłos ciężkich kroków, a do kancelarii wszedł starszy strażnik Jakub, inaczej świętym Piotrem dla kluczów, którymi zwykle brząkał, zwany, popychając przed sobą drobnego, jak kogut nastroszonego więźnia z suchą, czarniawą twarzą i zuchwałymi oczyma, po których przelatywały złote i czerwone ognie. Dość było spojrzeć na niego, aby poznać, że gorący jest jeszcze od bójki, z której go wyrwano. Pięści miał zaciśnięte, na czole żyły jak postronki, kolana pod nim drżały, nozdrzami prychał, a ostre, rzadkie zęby błyskały mu spomiędzy warg jak u brytana.

Za Jakubem wszedł olbrzymi chłop w siwym, więziennym, szeroko na piersiach rozerwanym kubraku, z wielkim, głęboko między ramiona wciśniętym łbem golonym. Twarz miał dużą, ospowatą, mocno obrzękłą, a cała jego wielka, ciężka, skurczona w sobie postać przypominała wołu, ogłuszonego uderzeniem obucha.

Gdy wszedł, owinięte szmatami nogi zgiął w kolanach, łokcie w tył za siebie wysunął, a trzymając w obu rękach na obnażonej, rudo zarosłej piersi swoją aresztańską czapkę bez daszka, oczy w podłogę wbił i zaczął trząść wielką, wciśniętą w kadłub głową.

Chłop był młody, trzydziestu lat może nie miał, ale zniszczony był strasznie. Żarło go coś widocznie i krew z niego ssało. A nie było to owo powolne, charakterystyczne wyniszczenie, jakiemu podlegają dawni więźniowie i recydywiści, ale jakaś nagła i niepowstrzymana ruina, od której pomimo ogromnej budowy swojej tak zetlał, że zdawało się, iż potracony palcem padnie o ziemię i w proch się rozsypie. Twarz jego nie była ani bezmyślnie tępą, ani też ponurą, ale leżała na niej jakaś niezgłębiona troska i wielki, wielki, niezwyuczony strach; a lubo obrzękła od razów, jakie jej świeżo Osmólec zadał, znać było, że wyrazu swego nie zmieniła, go miała przedtem i mieć będzie potem, zawsze, zawsze. Zaciętości niedawnej bójki ani śladu. Parę razy, owszem, spojrzął olbrzym na Osmólca tak, jakby mu był wdzięczny za to, że go przed sobą widzi. Była to szczególna postać, która mnie zaciękała mocno.

Konwój zamykał Zaparty, a okrągłe, silnie wytrzeszczone oczy jego świadczyły o natężeniu mózgownicy ku spełnianiu rozkazów "wielmożnego".

- Osmólec - rzekł pan nadzorca silnym swoim, dźwięcznie wibrującym głosem. - Ty co znów? Doigrać się chcesz?

Mały, czarniawy więzień wystąpił ku środkowi i odrzekł śmiało:

- A nic, proszę wielmożnego...

Już po tym jednym ruchu i po tonie mowy poznałam, że to recydywista, stary, szczwany ćwik.

"Wielmożny" patrzył też na niego z pobłażaniem jakie tu tylko dawnych i dobrze znanych aresztantów udziałem bywa.

- Jak to nic? Co tam za rewolucję pod numerem robisz?

- Ja ta nijakiej rewolucji nie robię, tylko mi poszło o spanie. Spać każdy musi.

Przygasł już w sobie, ale mówił jeszcze ostrym, świszczącym głosem człowieka zmęczonego bójką. Czuł też widać, że słuszność przy nim, bo patrzył bystro, wprost w twarz "wielmożnego".

"Wielmożny" zmarszczył czoło i zwróciwszy się do strażnika zapytał ostro:

- Zaparty! A co tam znów za nieporządki w spaniu?

Wyprostowany strażnik głębiej jeszcze brzuch wciągnął w siebie, szerokie piersi wystawił, but do buta przystosował, przełknął ślinę i szybko mrugając wytrzeszczonymi oczami rzekł:

- Nie pokazało się tam żadnego nieporządku, wielmożny panie!

- Nie pokazało! - powtórzył po nim zuchwale Osmólec, przekrzywiając głowę i mrużąc lewe oko.

- A skąd to pan strażnik wie, że się nie pokazało?

- Jezu! Jezu! - jęknął nagle po dwakroć Onufer i podniósł wzrok błędny przed siebie.

Nikt wszakże nie zważał na to, a Osmólec tak mówił dalej:

- Niech no by pan strażnik choć jedną noc nocował na mojej pryczy, toby mu się zara pokazało!

Na twarzy olbrzymiego Onufra wybiła wielka męka. Głowa jego trzęsa się coraz silniej. Osmólec całkiem się tymczasem do Zapartego zwrócił.

- A ja panu strażnikowi powiem, że kiedy tutaj siedzę, to jestem kazienny hareśtant i wygodę swoją muszę mieć, bo tu na mnie wszystko z każdy idzie! I jadło, i mundur, i spanie, i wszystko z każdy na mnie idzie! Wie pan strażnik?

Mówił to zwrócony twarzą do strażnika, ale oczyma zuchwale ku "wielmożnemu" błyskał. Tę taktykę stawiania zarzutów przez elewację znałam doskonale. Używali jej zazwyczaj doświadczeni więźniowie, i to z powodzeniem. Jakub, stary strażnik, znał ją widać równie dobrze, gdyż obojętnie patrzył w okno, niuchając ukradkiem tabakę, ale Zapartemu złość po twarzy kipiátkiem szła. Nie patrzył on wszakże na Osmólca, tylko jak w tuza oczy w "wielmożnego" wlepił, przekazując mu niby to wszystko, co od Osmólca usłyszał.

"Wielmożny", głęboko zasunięty w fotel, brwi miał lekko zbiegnięto i palcami podług zwyczaju po siole bębnił; piękne jego oczy podnosiły się przy tym i spuszczały długim, powłóczystym spojrzeniem. Zdawać się mogło, iż wywodów Osmólca przez roztargnienie tylko słucha, a myśl ma zajęta innymi, stokroć ważniejszymi sprawami.

I ta kancelaryjna taktyka obcą mi nic była. Wyznać nawet muszę, że przynosiła ona pewne, dość znaczne korzyści, a mianowicie: pozwalała wyświecić się sprawie bez nakładu osobistego badania pomiędzy możliwymi zarzutami, możliwość zaś taką zawsze przewidywać należało, a władza stawiała mur ochronny, niejednokrotnie dla powagi tejże władzy konieczny; wreszcie bagatelizowała, że tak powiem, sprawę sama w oczach osób trzecich, wypadkowymi i niepożądanymi świadkami jej będących.

Najkomiczniejszym było to, że każdy z aktorów tego przedstawienia znał doskonale role wszystkich innych i że pomimo to sztuka ta odgrywała się z całą powagą należną wielkiemu zielonemu stołowa urzędowo żółtym ścianom, zapyłonym stosom papierów oraz innym akcesoriom biurowym.

- A po drugie - mówił dalej Osmólec - człowiek trzeci raz już tu, Chwalić Boga siedzi, to wie, co

do czego jest przynależące. Co złodziejstwo to złodziejstwo, a co zbójnictwo to zbójnictwo! W jednym msza polityka, a w drugim msza polityka. Kuzdy ma swój humor! I pan strażnik ma swój humor, i wielmożny nadzorca ma swój humor i ja mam swój humor. Kiedym ukradł, tom ukradł, to swoja rzecz, to mi nie pierwsze! A z takim zbójem świętokrzyskim graniczyć mi nie potrza! Pan strażnik dobrze wtedy na trzeci bok się wywróci, kiedy Onufer jak zapomniały po nocach się ciska, żeby jego choroba utłukła! Onegdaj a to świecę szewcom od łojenia porwał i jak gromnicę przy pryczy palił. Jeszcze kiedy całe posiedzenie het precz z dymem puści!

Zmarszczył się "wielmożny", głowę uniósł nieco i spod brwi nasuniętych gniewnie na Zapartego spojrział. Strażnik stał wyprostowany i również w twarz "wielmożnego" patrzył. Co do starego Jakuba, ten z wielką uwagą obserwował szmat pajęczyny wiszącej nad piecem i dwa palce w tabakierce trzymał. Była to sytuacja nieocenionego komizmu pełna.

- A dziś - mówił Osmólec obtarłszy usta wierzchem ręki - to tak jęczał bez calušką noc, jakby jego kto rznął! Niestrzymane rzeczy! Człowiek, jak się układzie, toby i spał. bo ma ze wszystkim czyste sumienie: a taki duszegub i dysperak to i sam nie śpi i drugiemu nie da!

Ino światło zgaśnie, zara stęka, że coś przed nim stoi. A ja co temu winien, że co przed nim stoi? Ja za nim pałki nie nosił! Człowiek, chwalić Boga, swój wyrok ma i za swój siedzi, a do inszych to mu ta nie! Żeby ja miał nad każdym zbójnikiem stękać, tobym się dawno rozpukł!

- Jezu! O Jezu! - głucho znów jęknął Onufer, ale nikt nie zważał na to. Osmólec zaś tak rzecz swoją kończył:

- A pan strażnik kiedy taki mądry, to niech. Onufra na osóbek wytransportuje, to pod numerem nijakiej rewolucji nie będzie! Bo tam same porządne ludzie siedzą i już! Wie pan strażnik?

Nastawił się i aż w biodrach przysiadł. Przechodziło to widać miarę zwykłej beczelności, bo stary Jakub splunął w bok i z szelestem ślinę butem zatarał.

- No, no! - zawołał marszcząc czoło pan nadzorca. - Nie bądź taki rezolutny! To ty nie wiesz, że za bijatyki ciemna? Jeśli ci się krzywda dzieje, to masz kancelarię! Masz mnie! A samemu sobie sprawiedliwości robić tu nie wolno!

Osmólec rzucił spode łba na "wielmożnego" szybkie, zadziwione spojrzenie. Tego tonu nie spodziewał się widać. Nie brał widocznie w rachubę mojej obecności. Po twarzy jego przemknęło najpierw zaniepokojenie, a potem szybka decyzja. Podszedł do fotela i uściśnął "wielmożnego" za kolana.

- A cóż to wielmożny pan - mówił wzruszonym głosem - mało się nad nami naturbuje, namęczy, żebym ja za lada głupością do kancelarii latał i wielmożnego pana fatygował? A czy mi to wielmożnego pana zdrowie niemiłe albo co? A toby mnie Pan Bóg za to ciężko skarał! Toć wielmożny pan nade mną ojciec i opiekun najkochańszy! Żeby nie wielmożny pan, toby ja był ze wszystkim sierota!...

Tu nos w palce wytarł i chlipać począł. Zapatrzył się na niego Jakub, a tak był przejęty mistrzowskim wykonaniem tej sceny, że tabakę w palcach trzymając nie niósł jej do nosa.

- Ani ja ojca, ani ja matki, ani żadnego przyjaciela! - chlipał Osmólec. - Hu! hu! hu!... Bóg tylko jeden nade mną na niebie, a drugi wielmożny pan na ziemi, hu! hu!... Niech ta dziesięć razy bez dzień na mnie strażnik skarży, hu! hu! hu! A ja ojca swego i wielmożnego opiekuna, i dobrodzieja swego nie będę o lada co turbował, hu! hu! Ja wielmożnego pana tak kocham jak dziecko matkę!... hu! hu! hu!... Bo mi wielmożny pan za matkę stoi i za wszystkie majątności! hu... hu...

Mówił szybko, płaczącym głosem, spode iba tylko zerkając, jak mu się ta sztuka udaje.

- Dosyć! Dosyć już! - przerwał pan nadzorca z ojcowską surowością w głosie.

Osmólec jednak chlipać nie ustawał.

- Wielmożny pan mnie słuchać nie chce, hu... hu... hu... hu!... A ja bym wielmożnemu panu nóżki umył i brud wypił, hu! hu!... Jak ja stąd wyyszedł na jesień, hu! hu! hu!... tom sobie rady nie mógł dać bez wielmożnego pana! Żeby mi srebro, złoto dawali, żebym w aksamitach chodził, tobym bez wielmożnego pana żadnego wskórania nie miał... Hu! hu! hu! hu!... Dopiero, jakem się tu powrócił, a wielmożnego pana zobaczył, hu! hu!... to mi tak było, jakbym się na świat drugi raz narodził... hu!... hu!- hu!... A wielmożny pan za moje kochanie... hu! hu! hu!...

Aż mnie dziw brał, że pan nadzorca tak długo Osmólcowi gadać pozwolił, ale przypomniałam sobie, że - sam krasomówca - w bystrej mowie się kochał i obrotnego języka rad słuchał.

Tymczasem Osmólec plackiem na podłogę padł i buty "wielmożnego" całował chlipiąc głośno.

- No, no! Bez tych czułości - rzekł miększym już głosem pan nadzorca - Ostatni raz ci daruję, pamiętaj! Jak tobie nie wstyd nawet, takiemu staremu, porządnemu aresztantowi, co już trzeci raz tu siedzi i przykładem dla innych być powinien, za łby się z frajerami wodzić! Nie spodziewałem się tego po tobie! Zawsze cię do porządných ludzi liczyłem, a ty mi taki zawód, taki wstyd robisz! Pfe! Martwisz mnie!

- Hu! hu! hu!... - beczał Osmólec plackiem na podłodze leżący. - Ja bym dla wielmożnego pana krwi z małego palca utoczył! Ja bym wielmożnemu panu śmiertelny grzech powiedział! Ja wielmożnego pana tak kocham, że się we mnie wnętrzości od żalu pękają. Jak wielmożny pan się na mnie gniewa! hu! hu! hu!...

- No, dosyć już, dosyć - rzekł, podnosząc go łaskawie, pan nadzorca. -

Ruszaj pod numer i żeby mi tam było spokojnie! Rozumiesz?

- Rozumiem, wielmożny ojczy i opiekunie najukochańszy! Rozumiem!

Podniósł się Osmólec, stęknął, pociągnął kilka razy nosem, pięścią wytarł oczy, w których jakoś łez nie było widać, i ku progowi się cofnął. Zaparty, wyprężając tymczasem kolejno wszystkie swoje muskuły, zdołał nareszcie przybrać jak najbardziej poprawną w stylu kancelaryjnym postawę. Istotnie, wyglądał on jak epileptyk w napadzie tęcza. Oczy ma już nawet nie mrugał, bo mu kołem, wpatrzone w twarz "wielmożnego", stanęły.

Stary Jakub miał je za to do połowy zmrużone, jakby, znudzony znanym sobie widowiskiem, usypiał; głowa mu też nieco z karku zwisała, co go uczyniło podobnym do starej szkapy, która - lubo w zaprzęgu - z lada przystanku korzysta, aby łeb stary zwiesić i zdrzemnąć na chwilę. Co do pana nadzorcy, ten był promieniejący i poglądał na mnie z pogodnym tryumfem, rad widocznie, że aresztant tyle sprytu i polityki okazał, a jego jasne piękne oko zdawało się mówić:

„A co? Tak u nas! Szaleją po prostu za mną ci hultaje!”

A tam, u progu, z wbitymi w podłogę oczyma stał tymczasem olbrzymi Onufer, w siwym swoim, rozerwanym kubraku, coraz silniej cisnąc czapkę do szerokiej, obnażonej piersi. Tego, co się dokoła niego w kancelarii działo, zdawał się nie widzieć i nie słyszeć wcale: głową tylko na obie strony chwiał i brwi na żółtym i zoranym przedwcześnie czole wysoko podnosił, jakby się dziwił czemuś i czymś przerażał w sobie. Po czy m znów nagle trząść się zaczynał i stękał jak ciężko chory człowiek.

Osmólec przechodząc koło niego rękę w kułak ścisnął i wysuniętym knykciem wielkiego palca w biodro go pchnął. Wielki Onufer ocknął się i spojrział na niego zmaconym wzrokiem; na jego twarz śmiertelnie stroskaną nie wybił się najmniejszy siad niechęci- Po czym zaraz oczy wbił w ziemię i brwi nad czołem w niezmiernym zadziwieniu podniósł.

- A cóż ty tam! Nie ruszysz się? - przemówił po małej pauzie pan nadzorca. - W ziemię wrosłeś czy co?

Szturchnął go ponownie Osmólec.

- Dalej go! Będiesz tu jak drąg stał, kiedy nasz wielmożny ojciec i opiekun najukochańszy do ciebie gada? A padnijże do nóg pańskich! A podziękujże wielmożnemu panu!

Ale Onufer, zamiast ku fotelowi podejść, jak stał, tak na kolana u drzwi runął, a podniósłszy obie ręce trząść nimi zaczął, wołając zdławionym głosem:

- Ani drgnął! Ani zipnął, chudziaszek! Inom go, raz... I ani drgnął! Ani tchu nie puścił! O Jezu! Jezu! Jezu!...

Rękami nad głową splasnął, palce splótł i czołem o podłogę z głuchym łoskotem uderzył, a ogromny, do ryku podobny jęk wstrząsnął żółtymi ścianami kancelarii. Pan nadzorca cofnął się od stołu z fotelem, chociaż go prawie cała długość pokoju od Onufra dzieliła, i przybladł nerwowo. Był wrażliwy i nie lubił scen przechodzących miarę zwykłego, łagodnie roztkliwionego liryzmu.

Widząc to Osmólec znów kilka kroków ku środkowi postąpił i pochylając się z miną zaufańca rzekł:

- I nie bydlę to, proszę wielmożnego? I to tak bez caluśkie noce idzie!

Świętemu by cierpliwości brakło!

- Ani drgnął... Ani zipnął... Jak ten ptak... Jak ten ptak... - głuchym, zduszonym rykiem powtarzał Onufer. - O moje dziecko, moje dziecko! O Jezu! Jezu! Jezu!

Twarz pana nadzorcy zachodziła złowrogim cieniem. Palce jego coraz szybciej po poręczy fotela bębniły, a brwi zbiegły mu się nad gniewnymi oczyma groźne i drgające.

Chwile trwało milczenie.

Zaparty, który przy runięciu Onufra na kolana wyszedł był nieco z "frontu", znów się wyprężył do niemożliwości, a stary Jakub szyję z niebieskiej obwiązującej ją chustki wysunawszy, głowę ku "wielmożnemu" podniósł i nozdrza nastawił.

Tak zmyślny wyżeł patrzy w oczy panu, rychło powieką mrugnie albo palcem ruszy.

- Do ciemnej go! - zakomenderował "wielmożny".

W jednej chwili zerwał się Onufer na klęczki i ręce do "wielmożnego" wyciągnął:

- Panie! - zawołał - Panoczku! Panie miłosierdny! Różgami sieć kaźcie, język zakneblujcie, strawę odejmijcie, ręce i nogi zakujcie, ale dociemnej nie sadźcie! Nie sadźcie do ciemnej, panie miłosierdny, bo on tam z każdego kąta na mnie patrzy... Panoczku miłosierdny, nie sadźcie!

Na szeroką, obrzękłą twarz jego wystąpił wyraz śmiertelnego strachu, zaciśnięte ręce trzeszczały w stawach i trzęsły się ku "wielmożnemu" konwulsyjnym ruchem, oczy otwierały się coraz szerzej, głos chrypiał. Począł się wreszcie Onufer na kolanach ku fotelowi czołgać powtarzając: "Panie miłosierdny! Panoczku miłosierdny!..."

Czołgał się powoli, ciężko, ciągnąc za sobą grube swoje, obwinięte szmatami nogi jakby wielki, wielki ciężar.

Widok był tak straszny, że mimo woli złożyłam ręce i pochyliłam się ku nieszczęśnikowi.

A wtedy pan nadzorca wstał i rzekł suchym głosem:

- Na dwadzieścia cztery godzin!

Zakotłowało się u proga, strażnicy przy pomocy Osmólca chwycili olbrzymiego chłopca, pchnęli go, po czym drzwi się zamknęły, a ciężkie kroki oddalających się cichły stopniowo w długim korytarzu więziennym.

Na kilka tygodni przed wyżej opisaną kancelaryjną sceną jedno z pism miejscowych podało następujący artykuł:

"Sądowa izba warszawska rozpatrywała w dniu wczorajszym na pełnym posiedzeniu sensacyjną sprawę o zabójstwo kupca N., właściciela sklepu towarów kolonialnych w X, spełnione w miesiącu wrześniu rb.

Sprawa ta po wysłuchaniu oskarżonego i świadków przedstawia się, jak następuje:

Przed dwoma blisko laty kupiec N. przyjął na parobka Onufrego Sęka, pochodzącego ze wsi Witaszewice, powiatu X, guberni Y, który po nastąpionej tamże pogorzeli do miasta, szukając zarobku, przybył. Powołani świadkowie zgodnie zeznają, iż Onufer Sęk obowiązki swoje sumiennie pełnił, dobra pańskiego wiernie pilnował, trzeźwy był, uczciwy i spokojny.

Co zaś do osoby samego kupca N., utrzymują oni, iż dla służby bywał srogi, źle ją żywił i w wypłacie zasług krzywdził. Zeznają dalej świadkowie, między którymi jest wielu dawnych sług zabitego, iż żaden z nich dłużej nad kwartał w służbie tej wytrwać nie mógł, a byli i tacy, którzy ją już po kilku dniach rzucali. Gdy zaś przy wzrastającej zgryźliwości i porywczosci charakteru kupca N., który bezzennym będąc, sam gospodarstwo prowadził, coraz trudniej o ludzi było, Onufer całą robotę w domu i w sklepie sam spełniać musiał, gotując przy tym i usługując do stołu pryncypałowi. Usługiwanie to i gotowanie najwięcej mu się przykrzyło. Kupiec bowiem, ilekroć mu parobek w czym nie dogodził, rzucał w niego to szklankę z wodą, to widelec, to talerz z zupą, tak iż w kamienicy zwyczajną było rzeczą widzieć parobka poparzonym, pokrwawionym, z sińcami i guzami na głowie i twarzy. Dziwiono się powszechnie, dlaczego Onufer innej sobie służby nie szuka, ale źle płacony, lichy żywiony i codziennie poniewierany, mimo to pana swego się trzyma. Ci, którzy na uczciwość i pracowitość parobka z bliska patrzyli, podejmowali się nawet dobre miejsce mu nastęrczyć, ale Onufer odstać od kupca nie chciał. Po każdej nowej krzywdzie widziano go, jak siedząc na schodkach od podwórza gorzko płakał, ale gdy kupiec na niego zawołał, łzy ocierał i znów do roboty stawał.

Tajemnicą tej wytrwałości było niezmierne przywiązanie parobka do dwunastoletniego Julka, chłopca sklepowego, sieroty, który równie poniewierany jak Onufer, miejsca przecież opuścić nie mógł, ponieważ oddany tam został przez opiekuna swego, a zarazem powinowatego kupca N. Jeden ze świadków opowiada, że nieraz widział, jak chłopczyzna z płaczem na piersi parobkowi się rzucał i jak Onufer pocieszał, głaskał i całował sierotę, jak go nawet na ręce brał niby małe dziecko. Sypiali też raze na pawlaczu w kuchence, a kiedy parobkowi udało się kilka złotych zasług otrzymać, to buty chłopca do podzelówki dawał, choć sam w drewnianych trepach tylko chodził, to mu czapkę kupił, to nawet brudne koszule Julka sam nocami pierał, za uprasowanie ich płacąc stróżce po parę groszy.

Sierota też całym sercem do parobka przyrósł, a kiedy widział, że Onufer nad dolą swoją płacze, przynosił mu to parę kawałków cukru, to kilka rodzyneków, rzucał mu się na szyję i poty go całował, póki się Onufer nie rozjaśnił.

W niedzielę, dnia szóstego września, to jest w dniu, w którym zabójstwo spełnionym zostało, Julek do opiekuna swego od rana jak zwykle w święto poszedł, parobek zaś obiad zgotował i na stół podał. Pan jego był w wyjątkowo złym humorze i pod pretekstem, że zupa przesoloną została, ważkę nową z gorącym krupnikiem w twarz parobkowi cisnął, po czym resztę obiadu zjadłszy, na sofkę w stołowym pokoju stojącą dla poobiedniej drzemki się położył.

Parobek się tymczasem wypłakał, obmył i ze stołu sprzątać bez żadnej złej myśli przyszedł, gdy

jednak dręczyciela swego uśpionym zobaczył, złość i żal w nim zakipiła, chwycił wielki gwicht w kącie pokoju na decymalnej wadze stojący i uderzywszy nim śpiącego w głowę. na miejscu go zabił. W tej właśnie chwili wbiegł na próg powracający Julek i zobaczywszy trupa, który się z sofki na ziemię stoczył, zakrzyknął. Onufer bezprzytomnie ku niemu się rzucił, za szyję chłopczynę chwycił i trzymanym jeszcze w ręku gwichtem w głowę go ugodził. Krew i mózg bryznęły wysoko na ścianę, a chłopiec jak stał, tak padł, raz tylko krzyknąwszy. Przybyłym w parę godzin po katastrofie przedstawił się następujący widok:

Kupiec N. leżał na podłodze martwy, tuż obok wybitej skórą sofki, przy drzwiach zaś mały, rozciągnięty na ziemi sierota z głęboko pękniętą czaszką.

U nóg chłopca leżał wpółprzytomny parobek, ściskając jeszcze morderczy gwicht w ręku.

Ujęty nie bronił się i do spełnionego podwójnego morderstwa od razu się przyznał. Ma on lat odznacza się niezwykle silną budową i olbrzymim wzrostem. Gdy mu na sali sądowej przedstawiono poplamione krwią ubranie zabitego chłopca, zachwiał się i padł zemdłony. Publiczność jest niezwykle zajęta tą nader sensacyjną sprawą, o której dalszym przebiegu czytelników naszych poinformować nie zaniechamy"

3.

- A cóż tam z Onufrem? - zapytałam raz starego Jakuba, spotkawszy go na schodach.

Jakub spojrział na mnie z namysłem, tabakierkę dobył i zanurzywszy w niej swoje wyschłe, sękaty palce rzekł:

- Phi!... Cóż ta już Onufrowi! Wczora minął tydzień, jakeśmy go pochowali.

- Jak to? Umarł?

- A umarł.

- I z jakiej choroby?

- Choroby - odrzekł Jakub, z wolna otrząsając szczyptę - to tak akuratnie żadnej nie miał. Przecie mu i felczer pijawki stawiał, i pan doktor mu proszki dawał, to jakby miała być jaka choroba, toby się i pokazała. A tu nic!

Zażył tabakę, zmrużył oczy, pociągnął nosem i tak mówił dalej:

- Tak mu oto błąd jakiś do głowy przystąpił, że umarł.

- I cóż to było?

- Cóż ta miało być! Bieda była i tyle!

Obejrzał się na lewo, obejrzał się na prawo, a potem rzekł:

- Bez te ostatnie czasy to już nawet i pod numerem nie siedział, bo z nim msze aresztanty wytrzymać nie mogły, a co i raz, to dalej go, bijatyka. Aż go wielmożny na osóbkę w komórcę obsadził, tam gdzie te szewcy skład na skóry wprzód mieli. Jak go też wielmożny obsadził na osóbkę, tak się wieszać chciał. Ano dobrze. Ale żeśmy go oderżnęli i do ciemnej coś na tydzień poszedł, więc już się tego potem nie chwytął. Ale i tak wskórania z nim nie było. Dzień jak dzień. Ale jak tylko Pan Bóg noc dał, tak do mego Onufra zara błąd przystępuje. Ino chodzi, ino ręce składa, ino cości prawi, a stęka, a płacze, aż ograża człowieka słuchający. A precz się prosi, żeby go na powrót pod numer dać. "Jakże cię pod numer dać - pedam - kiedy cię tam insze aresztanty tłuką?" „A niech mnie ta tłuką - peda - niech i zatłuką, żebym ja aby sam nie siedział!" Ale wielmożny przykazał, coby w komórcę został. Tak patrzę ja raz przez luft we drzwiach, a miesiąc tak stał na niebie jako rybie oko i cała ona komórka aż biała była od jasności, a tam mój Onufer w kącie, plecami do muru przyparty, w jednej koszuli jak ten świętek stoi, ręce złożone przed sobą trzyma, nogi się pod nim trzęsą jak w zimnicy, a on sam dopieroż tak się modli, tak molestuje, właśnie jakby tam kto przed nim stał.

"O moje dziecko - peda - o moje kochające! Czemuś ty wtedy wyszło w złą godzinę? O moje dziecko najmilejsze! Toć ja ciebie ubić nie chciał! Toć ja ciebie jak własną duszę miłował!" Patrzę ja, wytrzeszczam oczy, nikogo w komórcę nie ma, a ten się precz trzęsie a modli: „O moje dziecko, odpuść ty mnie - peda - odpuść ty mnie swoją śmierć niewinną! O moje dziecko najmilsze - peda - kochanie moje najśłodsze!"

Tak ja do niego: „Onufer! Co z tobą?" Tak on nic, tylko patrzy na mnie jak błędny - Tak ja do wielmożnego. Tak i tak, wielmożny panie, tak i tak - pedam - żeśmy to już na niego pobaczenie mieli po onym wieszaniu! Tak wielmożny idzie, patrzy, akuratnie wszystko prawda.

Chłop w jednej koszuli stoi i trzęsie się jak ta osika w boru. Tak wielmożny, że to miłosierne serce ma, zaraz mi kazał świecę wziąć, zapalić i Onufrowi ją z latarką w komórcę postawić. Tak się dopiero ono chłopisko układło.

Umilkł i zażył tabaki, po chwili zaś tak mówił dalej:

- Ale mu ta i tak nie plażyło. Jedzenie to i do trzeciego dnia stało, jakim nie zabrał, a prosiętom pana sekretarza nie dał. Tak chłop wychudła, że się tylko skóra poopinała po kościach, a tak

szczerniał jak ta święta ziemia. Aż go też do lazaretu wzięli. Jak go też do lazaretu wzięli, tak mój Onufer do cna skapiał. Leżeć nie leżał, chorować nie chorował, tylko tak sobie co nieco do głowy dopuszczał, po całych dniach pacierz mówił, w piersi się bił, a już jak wieczór przyszedł, to ino cości po kątach upatrował i do onego chłopaka, co go pono ubił. Jakby do żyjącego gadał i różnie go ta nazywał, że i rodzony ojciec lepiej by nie potrafił. Aż też tak jednej nocy zmarło ono chłopisko w kącie klęczący, Józef, ten czarny, z lazaretu, co go z Szymonem na tapczan z onego kąta niósł, powiadał, że taki był letki jak ten snop omłócony... Aż im dziwno było.

Zanurzył dwa palce w tabakierkę i wziął sporą szczyptę utrząsając z niej po trochu i w palcach ją wążąc.

- A cóż Osmólec? - zapytałam jeszcze.

Stary nie odpowiedział zrazu, ale obejrzał się na lewo, obejrzał na prawo i wzięwszy tabakę, nosem kilka razy czmychnął.

- Iii... Cóż tam taki Osmólec! - rzekł wreszcie. - Takiemu Osmólcowi biedy nie ma! Trzeci raz tu już siedzi, więc jest we wszystkim człowiek znający.

Ano wziął go teraz wielmożny do siebie, do kredensu...

Przygotowano na podstawie bookini.pl